



O

B

C

H

O

B

O

R

Y

R A D O S Ł A W N O W A K O W S K I

# OPOWIADANIE NIE CAŁKIEM FANTASTYCZNE



Teraz, po kilkudziesięciu dekadach, nikt już nie wie, skąd się wzięły ów ceremoniał tak porywający w swej prostocie, powalający emocjami. Niczego takiego wcześniej nie było i niczego takiego nie będzie później – w to nikt nie wątpił, nikt bowiem nie wątpił i w to, że przyszłości nie będzie, a przeszłość, chociaż, owszem, była, to tak zamazana i niejasna, że nie warto o niej wspominać.

To istotne. To zamazanie. Kontrastowało ono bowiem z ostrością Początku. Ten był wyznaczony konkretną datą. Rok, dzień, godzina, wszystko pozostawało niezmiennie, stanowiło punkt odniesienia dla Wszechświata. To była nowa Osobliwość, prawdziwie osobliwa, nie tak jak Wielki Wybuch, w sumie dosyć mętny, raczej wizja niż udokumentowany w pełni fakt; pamięć o nim kultywowali już nieliczni, powoli i sukcesywnie wymierający i zabierający ze sobą wiedzę o nim, poszerzając stopniowo otchłań ignorancji, której i tak prawie nikt już nie dostrzegał.

Zatem, jest oto wszechogarniająca mgła, powszechny bełkot i rozmycie, i jest jeden punkt, stały, niezmienny, wokół którego ta ogromna mgławica, składająca się z mnóstwa małych mgławic, wręcz mgławiczek, wiruje. Niech sobie wiruje. Nikt się teraz tym wirowaniem nie przejmuje. Wszyscy skupiają się na tym punkcie i już im się w głowach nie kręci, myśli im się nie płaczą, obraz wszystkiego jest jasny, tak jasny jak nie był nigdy przedtem ani nie będzie nigdy potem. Jeśli będzie jakieś potem, bo, jak już wiemy, przedtem odchodziło w niebyt wcale nie tak powoli.

Jednak jakieś szczątki historii jeszcze wały się tu i ówdzie bezładnie porozrzucane. I z nich wynikało, że już nieraz tak bywało, iż jedno zdarzenie, przez jakże wielu w ogóle nie zauważone wtedy kiedy miało miejsce, potem okazywało się kolejnym punktem początkowym, rokiem zerowym nowego kalendarza. Wtedy jednak jeszcze było potem.

Nie jest to zatem nic szczególnego. Tym bardziej nie było to niczym szczególnym tutaj. I tym bardziej było to nieszczególne, że oto wydarzenie, które wyglądało na dzieło Szatana, okazało się dopustem Bożym i odmieniło oblicze tego kraju. I mógłby to być całkiem dobry, logiczny dowód na jedność Boga i Szatana, na pewno jednak nie tutaj, gdzie logika dawno temu poszła w niepamięć i została zastąpiona szemraną symboliką i przekonaniem o potężde

nieszczęścia. Nic tak nie wyróżnia jak nieszczęście, co wiadomo od dawna, w związku z tym kraina nieszczęśliwości czuła się wywyższona ponad wszystkie inne krainy. Dlatego też niczego nie ceniło tu tak jak klęsk – dlaczegoż jednak miano by ich nie cenić skoro zawsze wychodziły krajowi na dobre?

Nie było wątpliwości co do daty i godziny Wydarzenia. Nie było też wątpliwości co do miejsca. Nie było też żalu co do tego, że wydarzyło się to nie tu, na ziemi błogostawionej, lecz tam, na ziemi przeklętej. To znacznie lepiej. To dzięki temu wszystko od początku zostało spowite mgłą domysłów, utonęło w bagnie mniemań i przypuszczeń. Tu wszystko stałoby się znanym i wtedy byłoby źle. Tu Wydarzenie straciłoby swą symboliczną moc, a wraz z nią także dużą literę na początku i wtedy nie stałoby się to, co się stało. Stałoby się coś zupełnie innego, coś bardzo złego, coś tak niedobrego, że nie warto sobie tym zaprzętać głowy.

To wydaje się dziwne, że Wydarzenie, o tak dokładnej dacie i miejscu, jest tak niejasne w swej istocie. Wiadomo, że doszło do katastrofy samolotu, w której zginął Prezydent i jego świta. To też jest niepodważalne. I chyba już tylko to. Cała reszta, wszystko inne co wiąże się z Wydarzeniem zostało podważone. Jeśli chodzi o inne Wydarzenia (używamy dużej litery trochę z przyzwyczajenia – nie powinniśmy tego robić, bo nawet jeśli kiedyś wyznaczały one nowe punkty zerowe na osi czasu, jak również punkty kardynalne, cokolwiek by to miało znaczyć w ich przypadku, w przestrzeni, na mapie świata, to po WYDARZENIU przestały one znaczyć cokolwiek, nawet nie da się ich traktować jako zapowiedzi, jako proroctwa) to problem z nimi polegał na tym, że zważywszy ich zamierczość, niewiele o nich wiedzieliśmy, z reguły mieliśmy do czynienia z legendami, które niezbyt udanie próbowały zastąpić fakty, a tych była nawet nie garść, lecz garstka. Teraz sytuacja była odwrotna, więc niejako przeciwna, przez to paradoksalna: mieliśmy za dużo informacji. Ogrom ten przytłaczał, rósł i rósł, stawał się monstrialny i ci, coraz to mniej liczni, którzy ośmielili się z nim zmierzyć niczym z mitycznym smokiem, ginęli marnie wciągawszy w płuca ledwie jeden smoczy wyziew, a jeśli to potrafili przeżyć, przyginała ich monstrialne cielsko, lub gubili się w nieskończonych mrocznych labiryntach, gdzie bynajmniej nikt ich nie szukał pozwalając im

oszaleć całkowicie i ostatecznie. Więc nikt już się tym nie zajmował. Po cóż mieliby to robić, skoro lud pławił się w szczęściu, którego podstawę, jakże solidną i niewzruszoną, stanowiła z takim trudem zdobyta wolność w swym najbardziej powszechnym i podstawowym, a przez to najbardziej pożądanym wariacie, polegającym na swobodnym wyborze formy zniewolenia. A jako że i taki wybór okazał się zbytnim obciążeniem dla skołatanych umysłów, pozwalano, by dokonywała go Tradycja, był na tyle nieokreślony i rozmazany, że odporny na wszelkie zarzuty i pomówienia, nie przyjmujący też na siebie żadnej odpowiedzialności, bo nadzwyczaj zręcznie, wręcz magicznie przekształcający się w niebyt. A co zrobisz niebytowi? Nic.

Co ciekawe, ów punkt zerowy, tak jasno wyznaczony, nie był jedynym punktem zerowym. Był jeszcze jeden. Ten drugi pojawił się jakby jakiś cień, jakby ten pierwszy ciągnął za sobą smugę, która wreszcie przybrała nieco bardziej określony kształt. Tak się złożyło, że nastąpiło to dokładnie dziesięć lat po Wydarzeniu. Łatwo zrozumieć dlaczego czas jest liczony w dekadach. Chociaż na początku obchodzono nie tylko rocznice, lecz także miesięcznice, a nawet tygodnice i dnice (godzina, o której To się stało, nie została przeklęta, ani też uprzywilejowana i podniesiona do rangi Momentu Najosobliwszego, lecz po prostu ją pomijano, przeskakiwano, co u zbyt gorliwych obchodzących powodowało drobne zakłócenia w dziennym rozkładzie zajęć, oraz bardzo poważne, jeśli ten obchodzący był akurat motorniczym tramwaju lub kierowcą autobusu albo, o zgrozo, chirurgiem), po wYdarzeniu, przewagę uzyskała dekada, by z czasem odnieść absolutne zwycięstwo w świadomości ludu obchodzącego... wYdarzenie było czymś zupełnie innym niż Wydarzenie. Głównie dlatego, że nie było punktem, lecz plamą. Nie dało się określić nawet dnia, a tym bardziej godziny. Nie dało się określić tygodnia, nawet z miesiącem byłby kłopot. Za najprecyzyjniejsze uznano by stwierdzenie wiosną, bo wtedy, dziesięć lat po Wydarzeniu, wiosnę dało się jeszcze rozpoznać, choć kwiecień bardziej przypominał lato, aczkolwiek nie każdego dnia. Z określeniem miejsca był jeszcze większy problem niż z określeniem czasu, niemniej wiele wskazywało, że pierwszy zamysł, bardzo mglisty, pojawił się w umyśle człowieka, którego status teraz jest tak nieoczywisty, jak oczywisty był wtedy. Wtedy ów człowiek uważany był za brata

bliźniaka Prezydenta i nikt nie poddawał tego w wątpliwość – teraz niezliczone wątpliwości raczej nakazywały uznać go za postać mityczną, za awatara, za kolejne lub równoległe wcielenie, za mistycznego sobowtóra, za hologram, on sam przecież swymi w kółko powtarzanymi wypowiedziami dawał pożywkę tym wątpliwościom, mówiąc, że nie dorasta nawet do pięt Prezydentowi, co pokazywał podchodząc do pomnika stojącego na niezbyt wysokim cokole i rzeczywiście czołem nie sięgał podeszew ciemnawo połyskującej, metalowej figury trochę ponadnaturalnej wielkości. Prawdopodobnie te nieustanne zapewnienia o niespotykanym dotąd fenomenie tej niewysokiej osoby, o jej absolutnej nieprzećiętności, nadludzkiej inteligencji i przenikliwości, o niewyobrażalnych wręcz zasługach dla świata, których nikt nie potrafił wymienić, tyle ich było, sprawiły, iż poczęła się w jednym z najmroczniejszych zakamarków jego skomplikowanego niesłychanie umysłu, nie bliźniaczego lecz bliźnowatego, rodzić idea połączenia wyborów z obchodami. Tak się bowiem złożyło, że panująca na świecie pandemia uniemożliwiła wybranie kolejnego, trzeciego po Wydarzeniu, prezydenta. Potraktowano tę pandemię jako znak, dopust bosko-szatański i przedłużono kadencję. Potem przedłużano ją jeszcze kilka razy, aż w końcu stwierdzono, że nie ma sensu wybierać prezydenta, bowiem żaden nie dorówna temu, który zginął. Co najwyżej można próbować znaleźć kogoś, kto stałby się jego cieniem, nędznym odbiciem i za zadanie miałby jedynie przedłużać pamięć. I nic więcej. Żadnych funkcji choćby reprezentacyjnych – bo co i kogo miałby reprezentować i przed kim? . . . . Wyборы wypadły tamtego roku jakiś miesiąc po obchodach dziesiątej rocznicy Wydarzenia, więc nieomal w tym samym czasie, jakby chciały wskazać, że same nie mają już sensu. Czy to już wtedy ów mroczny umysł zaczął próbować łączyć wybory z obchodami co później przerodziło się w ogólnonarodową, ogólnoludową, klótnię co lepsze: borchody czy wychody czy obbory czy wybory czy jakaś inna kombinacja (nigdy nie znaleziono zadawalającego rozwiązania i sprawa odeszła w niepamięć jako niechlubny przykład powszechnego szaleństwa, co w rzeczywistości było ostatnim przejawem myślenia logicznego i niechorego rozsądku).

Tu należy wspomnieć o dwóch zjawiskach, jakże różnych, pozornie niedających się ze sobą połączyć, a jednak stanowiących istotne elementy tej doprawdy niezwykłej układanki.

Czarny Obiekt nie był zwykłym pomnikiem, był ze wszech miar pomnikiem zjawiskowym. Oto bowiem kilka lat po Wydarzeniu na głównym placu głównego miasta zjawiała się ni stąd ni zowąd, właśnie dokładnie tak, tajemnicza bryła. Zapewne odlano ją z betonu, a beton obłożono czarnymi, polerowanymi płytami z materiału, który wydawał się szlachetny, lecz mógł szlachetność tylko udawać; ktoś kto podszedł bliżej, widział wyraźnie cieniutkie linie precyzyjnych spoin. Ta bryła to płaski prostopadłościan przecięty prawie po przekątnej, po linii nie prostej, lecz łamanej, schodkowej. Tak oto na wielkim, szarym placu zjawiała się abstrakcja, nie czysta, lekko zabrudzona niejasną symboliką, lecz jednak abstrakcja. Niektórzy dopatrywali się w niej schodów prowadzących prosto do nieba, inni widzieli nie tyle schody, co trap, po którym wchodzi się do samolotu (który to samolot należało sobie wyobrazić, co zapewne stanowiło niejakiem rozczarowanie – wielu wolałoby zobaczyć prawdziwy samolot z wizerunkiem Prezydenta za owalną szybką), nikt nie dostrzegał płetwy czarnego rekina wynurzającej się z gładkiej tafli betonowego morza, co mogło dziwić, albowiem liczba tych, którzy oglądali film o potworze ludojadzie wielokrotnie przewyższała liczbę tych, którzy czytali opowieść o uciekającym białym wielorybie. Abstrakcyjne, czarne schody donikąd dziwiły tym bardziej, że w cenie była wówczas szpetota i bezguście, chamstwo stało się powszechne, bezwstydnym i manifestacyjnym, lud uwielbiał kicz i w kiczu się płał, a z nim płała się wszelka władza. Kto i dlaczego pozwolił na Czarny Schody? Kto zgodził się na coś takiego, coś subtelnego i wyrafinowanego? Czyżby już wtedy myślano o Czarnym Obiekcie nie jako o prawie abstrakcyjnej rzeźbie, lecz właśnie o budowli mającej konkretną funkcję? Na pewno autor wyobrażał sobie jedynie wieńce i wiece, nic ponadto. Bo czy to w ogóle możliwe, by myśl wybiegała aż tak bardzo naprzód? A jeśli to była Myśl? . . . . . Pewnym usprawiedliwieniem dla Czarnego Obiektu niech będzie to drugie zjawisko, wtedy już wykazujące oznaki przesilenia, powolnego zanikania, zaś w momencie Wydarzenia pozostające w nieustającym rozkwicie, który zdawał się wieczny i absolutny. Nie wiadomo

dlatego tutejszy lud umiłował ponad wszystko skoki na nartach. Nikt nie próbował tego wytłumaczyć, tak jak nikt nie próbuje przeprowadzać dowodów aksjomatów. Ten lud nie był jedynym takim ludem. Było jeszcze kilka innych ludów, które wykazywały mniejsze lub większe, niekiedy nawet ogromne zainteresowanie tym jakże niepopularnym gdzie indziej, wręcz nieznanym sportem. To zainteresowanie nigdy nie przekroczyło jednak owego magicznego progu, za którym staje się właśnie uwielbieniem odrzucającym wszelką logikę i jakikolwiek rozsądek. Latanie na nartach i latanie samolotem mają ze sobą coś wspólnego, nikt temu nie zaprzeczy. Znacznie mniej wspólnego mają ze sobą wchodzenie po schodach i zjeżdżanie ze skoczni, chyba że za obszar wspólny uznamy wchodzenie po schodach na skocznię. Właśnie. Żeby zejść, trzeba najpierw wejść. Żeby zeskoczyć, trzeba się najpierw wspiąć. Nawet najgłupszy lud nie zrezygnuje z podstawowych, żelaznych zasad; nawet jeśli je odrzuci, to i tak będzie według nich postępować. Każda sprzeczność jest sprzeczna tylko z pozoru.

Pamiętajmy, że nie stało się to nagle. Tylko Wydarzenie było punktem. Przeszyciem włócznią. Odrąbaniem głowy. Przestrzeleniem serca. Reszta była procesem. Linią. Plamą. Powoli rozwijającym się nowotworem, o którym nikt nie wiedział, że się rozwija, bowiem w swej chytrności dawał ludowi czas na przyzwyczajanie się. Ostatecznie rozróżnienie między zdrowiem a chorobą w dużym stopniu jest sprawą umowną, a jeśli tak, to można się umówić inaczej. Kiedy stan choroby jest stanem permanentnym i wszechogarniającym, przejaw zdrowia będzie uznany za chorobę jako zagrażający naturalnej homeostazie choroby. Jeśli jeszcze na początku nieliczni byli świadomi owego procesu, to z biegiem dekad stawali się coraz mniej liczni, a popadając w niemal całkowitą bezsilność perswazyjną, w kompletną niemoc przekonywanie i tłumaczenia, zamilkli, sścieżli i zniknęli.

Jak to bywa z rytuałami, rutyną i wszelkimi zwyczajami wymyślały się same, niekonstytucyjnie i pozadekretowo. Z czasem sankcjonowano je na piśmie, czyli stawiano kropkę nad i od dawna już gotowym, pięknie wykaligrafowanym, pyszniącym się finezyjnym zaokrągleniem.



Tak też było z poszerzeniem placu. Decyzji, która zapadła, nie traktowano jako fanaberię, lecz jako oczywistą konsekwencję. Skoro Wydarzenie rozpoczęło nowy kalendarz i stało się punktem zerowym, czyli środkiem czasu, środkiem historii, to Czarny Obiekt musiał się stać kiedyś środkiem świata, środkiem przestrzeni. Zapewne minie kilkanaście lub kilkadziesiąt kolejnych dekad, a świat zamieni się z kulistego, geoidalnego, w płaski, trudno bowiem twierdzić o punkcie na powierzchni kuli, że jest jej środkiem (choć nie jest to niemożliwe). Wtedy ważniejsze, bo wyraźnie widzialne i namacalne, wydawało się to, że środek świata nie powinien znajdować się gdzieś z boku placu, co mogłoby jednak świadczyć o jakimś szczątkowym, dogorywającym poczuciu estetyki, objawiającym się skłonnością do preferowania symetrii środkowej, promienistej i promiennej. Już wtedy kwestia rozbieżności przestrzennej między miejscem Wydarzenia a usytuowaniem Obiektu od dawna przestała spędzać sen z powiek. Uznano ją za nierozwiązywalny paradoks przestrzenny, niewytłumaczalną bilokację i superpozycję i już do niej nie wracano. Zaś niecentralne usytuowanie Obiektu raziło, oj bardzo raziło, kłuło w oczy nie do wytrzymania. Przesunięcie Obiektu, choć łatwiejsze, nie wchodziło w grę. Pozostawało poszerzenie placu. Porzucono kontrowersyjny pomysł odbudowania zburzonego pałacu, który kiedyś stanowił jedną z pierzei. Zburzono za to hotel, który stanowił pierzeją prostopadłą do tej pałacowej, i który kiedyś uważano za symbol nowoczesności i luksusu, zaś jego złotawo opalizujące szyby w kwadratowych oknach lekko wysuniętych przed lico białej elewacji wprawiały w zachwyt i zdumienie lud przyzwyczajony do siermiężnych, tandetnych bloków. Teraz plac przybrał kształt ogromnego owalu, a Obiekt lśnił pośrodku niczym czarne słońce, wokół którego krążą planety i asteroidy. Och, raczej lśniącej Centralnej Czarnej Dziury wokół której obraca się Wszechświat... Hotelu nikt nie żałował. Kraj pustoszał i pustoszał. Odkąd stał się prawdziwym i właściwym Państwem Środka, w przeciwieństwie do tego, które oszukiwało i mamiło ludzkość przez kilka tysięcy lat i czemu wreszcie położono kres, mało kto tu zaglądał, pokoje świeciły więc pustkami. Przerabianie ich na mieszkania też nie miało sensu, kto by w nich zamieszkał, lud skurczył się, zmniejszył i skarłał. I tak jak mało kto tu przyjeżdżał stamtąd tu, stąd tam też mało kto jeździł. Wszędzie było tak samo gorąco, a jeśli nie tak samo, to tylko trochę

mniej lub trochę bardziej. Tu i tam wycięto lasy, tam i tu rzeki wyschły, choć tu bardziej niż tam, niż gdziekolwiek, lecz i tak tam i gdziekolwiek było znacznie gorzej niż tu. Nieporównanie gorzej. Tu przynajmniej był Środek. Nigdzie indziej. I dobrze, że nikt o tym nie wiedział, że nikogo to nie interesowało. Można było spokojnie cieszyć się wolnością i żyć według oddekadnych praw nowej natury. Niech sobie wszyscy wirują wokół nas – my trwamy w bezruchu, w niewyobrażalnym przez innych spokoju, w nieosiągalnej przez innych błogości.

Tak to było.

Raz na dziesięć lat nadchodził dzień, podobno wiosenny, choć wiosen już od dawna nie było, kiedy lud zbierał się na placu. (Cały lud – chyba nie przewidzieli tego projektanci, że nadejdą takie czasy, iż ów powiększony, wydawałoby się taki ogromny plac pomieści wszystkich, a jednak... nie przewidzieli tego, że lud i naród aż tak skarłęją, a jednak...) Obchodzący i Wybrani. Obchodzących było mnóstwo, wielka niepoliczalna masa. Wybranych było nie mniej niż dwięćdziesięciu i nie więcej niż stu. Dokładna liczba była omijana, tak jak omijany był powtarzający się co dwadzieścia cztery godziny Moment. Najpierw wszyscy obchodzili Czarny Obiekt, krążyli wokół niego niczym ciała kosmiczne, bo przecież ani niebieskie, ani niebiańskie. Podobno gdzieś kiedyś inny lud też tak krążył wokół czarnej skały, ale wcale nie należało się tym przejmować. Zresztą i tak nikt tu o tym nie pamiętał, bo i co tu pamiętać, czym sobie głowę zawracać? Ani tam nie było środka świata, kamień był zwykłym kamieniem i nie naruszał tej zwykłości nawet fakt, że spadł z nieba; ileż to różnych kamieni mniejszych i większych, szarych i czarnych spadło z nieba przekreślając unikalność takiego zdarzenia, skutecznie kasując jego osobliwość. Tamten lud rodził się kłamliwy, żył kłamliwie i umierał w kłamstwie. Inne też, choć może nie aż tak bardzo... Natomiast TU wszystko odbywało się z godnością, ludzie kroczyli wolno i dostojnie, jakby tańczyli, podczas gdy tamci tłoczyli się w jakimś szale, niezdrowym zapamiętaniu... Tak, właśnie tak. Wolno i dostojnie. Jakby tańczono poloneza. Czyli chodzonego. Na trzy. Lekko uginając nogi przy pierwszym kroku i lekko skręcając tułów przy dwóch następnych. Żadna tam nieskładna bieganina. Nikt nie zbliżał się do Czarnego Obiektu. Nikt nie próbował go dotykać,

a tym bardziej całować. Pierwszy, najbliższy krąg Obchodzących stanowili dostojnicy i najwyżsi rangą funkcjonariusze. Oni wyznaczali krawędź pustej przestrzeni, w której zgromadzili się Wybrani. Wybranych nie wybierał nikt poza nimi samymi. Decydowała kolejność zgłoszeń. To wszystko. Kiedyś dosyć istotne było także kryterium wzrostu, lecz w miarę jak lud karłał przestało mieć zastosowanie. Po co komplikować sprawy proste? Teraz oni tworzyli najciaśniejszy krąg. Teraz oni mieli prawo dotknąć Obiekt. Lecz go nie dotykali. Po co gmatwać to co proste? Obchodzili Obiekt tak jak zgromadzony na placu tłum, nie musieli jednak poruszać się krokiem tanecznym. Oni, jako Wybrani, mieli prawo do kroku dowolnego, do takiego, który pozwalał na osiągnięcie największego skupienia, maksymalnie mobilizował całe ciało, wszystkie mięśnie, by dokonać rzeczy wspaniałej. Nikt nie czekał na zmianę warunków, te były takie same dla wszystkich niezależnie do tego jak wiatr hasał, jaka była temperatura i suchość powietrza. To się zupełnie nie liczyło. To na nic nie wpływało. Istotne było tylko to, kto zacznie, lecz w przeciwieństwie do wyścigu kolarskiego na torze, liczba przygotowawczych okrążeń nie była ograniczona. Teoretycznie mogło się zdarzyć, że będą tak długo obchodzić Obiekt, aż padną ze zmęczenia. To jednak nie rozwiązywało sprawy, nie dawało żadnych forów, nie przybliżało do zwycięstwa, ba! nawet od niego oddalało. Niemniej skok otwierający był niesłychanie ważny, gdyż ustanawiał punkt odniesienia. Nie należało liczyć na to, że najpierw na wpół, a potem całkiem oszalały tłum straci zdolność oceniania. Co to to nie. Wszyscy byli wyposażeni w gen oceny i znawstwa przekazywany od tyłu pokoleń, gen niemutujący, zapewniający niczym niezmaconą przenikliwość, która pozwalała dostrzec najdrobniejsze odchylenia od idealnej sylwetki. Więc kiedy mięśnie wystarczająco się rozgrzały, a Obchodzący jeszcze nie osiągnęli euforii, choć już im niewiele brakowało, któryś z Wybranych przerywał krąg, wyskakiwał z niego, wbiegał po czarnych schodach na niewielką kwadratową platformę i rzucał się w dół.... nie: skakał.... nie: spadał.... nie: zrywał się do lotu.... chyba tak.... chyba tak należałoby to określić. Lub startował. Bo to miał być lot, a nie spadanie. Dlatego nikt nigdy, przynigdy nie porównywał tego do skoków do wody z wieży, bo nie o to przecież chodziło, zupełnie nie o to. Chodziło o latanie, nie o spadanie. O lot taki jak na nartach, o takie właśnie ułożenie ciała, nie o salta i śruby, nawet nie

o beczki. Co najwyżej można było pomachać trochę rękami, zamienić je w skrzydła, bo to stanowiło tutejszy oryginalny wkład w rozwój tej dyscypliny, szkoda, że już w jej zupełnie schyłkowej fazie, kiedy to dogorywała razem z zimami, a potem zniknęła całkowicie, pozostając jedynie w pamięci zbiorowej tego ludu, tłumu Obchodzących i garstki Wybranych, zaś jedynym jej widocznym śladem było to, co działo się w ten szczególny dzień raz na dziesięć lat...

Po tym, który stawał się pierwszym skaczącym z Wybranych i zyskiwał rekompensatę za odwagę w wysokości jednej dziesiątej punktu, czyli westchnienie tłumu, po schodach wbiegał drugi, czyli ten który szedł zaraz za pierwszym, i odlatywał. Po nim trzeci i następni. I tak skakali w kółko, bez przerwy, bez podziału na serie i kwalifikacje. Do skutku. A tłum Obchodzących szalał. Wył i wiwatował. Dął w trąby. Unosił się w zachwycie. Porywał do lotu, w nadziei, że za dziesięć lat dołączy do Wybranych. Zwyciężał ten, kto roztrzaskał się najpiękniej. Stawał się Cieniem i jego niewyraźny, rozmyty, zdeformowany, puciołowaty wizerunek zawieszano w każdym pomieszczeniu pałacu, od toalety po reprezentacyjną salę lustrzaną. Nazwiska pozostałych Wybranych, przegranych, ryto bardzo drobnymi literkami na którejs z dolnych czarnych płyt Obiektu. Potem Obchodzący zamieniali się w Rozchodzących, by pograć się na kolejną dekadę w rozpamiętywaniach i oczekiwaniach.

Placu nie sprzątało. Zabójczy słoneczny żar wysuszał szczątki na pył, a gwałtowne podmuchy wiatru porywały go i niosły precz donikąd.

*kwiecień 2020*

